

ŻYCIE GOSPODARCZE

14 MAJA 1978
ROK XXXIII
NR 20
CENA 4 ZŁ



STANISŁAW ROJEK, naczelnik gminy Piecki: — Gminy są partykularne z natury rzeczy. („Słup” — str. 6)

Fot. S. ZUBCZEWSKI

INSTRUMENT REALIZACJI CELOW SPOŁECZNYCH

Rozmowa z prof. dr. JÓZEFEM PAJESTKĄ

K. SZWARC: Panie Profesorze! System ekonomiczno-finansowy WOG, wprowadzany od 1973 roku, jest stale doskonalony i dostosowywany do zmieniających się warunków gospodarowania. Tymczasem spotykam się niekiedy z opiniami, że w swej pierwotnej postaci przyniósł on więcej szkód niż pożytku, a po modyfikacji przestał wpływać na postęp w efektywności gospodarowania. Jak jest Pańskie zdanie na ten temat?

J. PAJESTKA: Nie sądzę, aby były jakiegokolwiek podstawy upoważniające do stwierdzenia, że system ekonomiczno-finansowy wprowadzany w latach 1973 i 1974, system tzw. jednostek inicjujących nie oddziaływał na poprawę efektywności gospodarowania. Działalność na silnie i skutecznie, przynosząc korzystne następstwa ekonomiczne i społeczne. Efekty i czas obowiązywania tych zasad były wystarczające do tego, aby stwierdzić, że ogólne założenia nowego systemu sprawdziły się w praktyce.

Taka była ocena kadr organizacji gospodarczych, w których system został wprowadzony. A w szczególności w tych WOG-ach, gdzie konsekwencje wynikające z systemu do-

szły aż do samego „dołu”. Wyraźnym przejawem skuteczności zasad WOG był silny opór przeciw przedsięwzięciom ograniczającym działanie systemu. To jest fakt społeczny.

Należy jednak stwierdzić, że zjawiska nieprawidłowości działania systemu ekonomiczno-finansowego rozdziły się w warunkach powstania nierównowagi w gospodarce i pojawiających się na tym tle tendencji do wzrostu cen.

Nie sądzę również, aby obiektywnie można było stwierdzić, że zmodyfikowany system zupełnie nie działa. Natomiast prawdą jest, że rozpowszechniony jest on w stosunkowo węższym zakresie niż poprzednio działające jednostki inicjujące oraz że w jego funkcjonowaniu występują liczne ograniczenia i wypaczenia.

Wypowiedzi na temat nieskuteczności jego działania należy m. in. interpretować w ten sposób, że kadry WOG uznają za celowe pójście dalej z procesem doskonalenia, a w szczególności w kierunku likwidowania wspomnianych ograniczeń i wypaczeń. Oceny te więc opierają się o stan postulowany.

Nadmienić też warto, że wprowadzanie zmodyfikowanych zasad nie było związane z tak szerokim ruchem

społecznym, z jakim mieliśmy do czynienia w pierwszym okresie powstawania jednostek inicjujących. Miało ono raczej charakter zabiegów finansowo-technicznych.

— W obecnej sytuacji niezbędne jest umocnienie oddziaływania planowania centralnego na gospodarkę. Coraz częściej mówi się w organizacjach gospodarczych, że stosowane przez ministerstwa i zjednoczenia metody nie są skuteczne, gdyż są drobiazgowo i niekiedy wewnętrznie sprzeczne. Jak wobec tego można bardziej aktywnie wykorzystać system ekonomiczno-finansowy dla zwiększania inicjatywy i efektywności pracy przedsiębiorstw?

— Trudności i wypaczenia w funkcjonowaniu systemu WOG łączą się z rzeczywistymi w poważnym stopniu ze sposobem wiązania planowania centralnego z zasadami działania organizacji gospodarczych.

Teza o konieczności umocnienia strategicznego planowania centralnego jest też ze wszech miar słuszną. Natomiast absolutnie niesłuszną jest taka jej interpretacja, z której wynikałoby, że umocnienie central-

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

ABY LUDZIOM ŻYŁO SIĘ LEPIEJ...

DLA MNIEJ ZAMOŻNYCH

GRZEGORZ PISARSKI

Znajdujemy się w połowie drugiego już pięćdziesiątka, w którym dewizą działania, mającą wpływ na wszelkie koncepcje rozwoju ekonomicznego kraju, jest odczuwalna poprawa warunków życia ludności.

W poprzednim pięćdziesiątku, gdy nowo uruchomione dzwignie przyspieszonego rozwoju pozwoliły na osiągnięcie szczególnie wysokiego wzrostu dochodów wszystkich grup ludności, było to powszechnie odczuwalne i wśród lepiej, i wśród gorzej sytuowanych rodzin, przy czym liczba tych ostatnich, co trzeba podkreślić, szybko malała.

W bieżącym pięćdziesiątku dokonujemy zasadniczego manewru w gospodarce, niezbędnego wobec piętrzących się trudności w utrzymaniu równowagi na rynku krajowym i w obrotach zagranicznych, toteż zakładamy niższe niż w ubiegłym pięćdziesiątku ogólne tempo wzrostu płac. W tej sytuacji szczególnie istotnym zadaniem, podyktowanym konsekwentną realizacją uchwał VII Zjazdu Partii, staje się zapewnienie dalszej poprawy warunków życia najgorzej sytuowanym grupom ludności.

Ta pilna potrzeba społeczna podyktowana jest faktem, że w gorzej sytuowanych grupach ludności postęp w warunkach życia w poprzednim pięćdziesiątku był relatywnie (w porównaniu do innych grup) węższy. A w tych właśnie grupach występuje duże natężenie potrzeb, nie zawsze zaspokajanych z funduszy socjalnych zakładów pracy, których rozdział zależy od prawidłowości działania aktywności społeczno-zawodowej.

Wśród czynników składających się w bieżącym pięćdziesiątku na poprawę warunków życia gorzej sytuowanych grup ludności trzeba wymienić przede wszystkim: podwyżkę płac najniższych i najbliższych następujących po nich grup wynagrodzeń oraz podwyżki rent, emerytur i innych świadczeń. Ostatnio też zwraca się szczególną uwagę na poprawę jakości masowo wytwarzanych artykułów standardowych, będących podstawą zaopatrzenia gorzej i średnio sytuowanych rodzin.

Place najniższe

Podwyżki płac najniższych i płac w najbliższych, występujących po nich grupach wynagrodzeń, są niewątpliwie ważnym czynnikiem poprawy warunków życia gorzej sytuowanych rodzin. Niekiedy wprowadzenie niskiego wynagrodzenia osoby żyjącej w średnio i dobrze sytuowanych rodzinach, ze względu na wyższe za-

robki pozostałych członków ich rodzin. Z reguły jednak fakt podejmowania pracy za wynagrodzeniem na poziomie płacy najniższej, lub od niej zbliżonym, wskazuje, że rodzina znajduje się w trudnych warunkach materialnych.

W poprzednim pięćdziesiątku przy ogólnie szybkim wzroście przeciętnej płacy (w granicach ok. 60 proc.) płaca najniższa wzrosła z 850 do 1200 zł miesięcznie, a więc o 41 proc. Tempo jej wzrostu było więc wolniejsze niż ogólnego poziomu przeciętnej płacy. Znacznie jednak rozszerzyły się w wyniku przyspieszonego rozwoju gospodarki, możliwości uzyskania lepiej płatnej pracy.

W konsekwencji odsetek rodzin pracowniczych dysponujących szczególnie niskimi dochodami (w granicach do 1 tys. zł na osobę miesięcznie), sądząc z wyników badań budżetów rodzinnych, spadł z 23 proc. w 1970 r. do 3,3 proc. w 1975 r. W 1976 r. nastąpił dalszy spadek do 2,3 proc., a odsetek rodzin w następnej również niskiej grupie zamożności (od 1001 do 1250 zł na osobę miesięcznie) spadł z 7 proc. w 1975 r. do 4,8 proc. w 1976 r. Brak tego typu badań za 1977 r., sądząc jednak z natężenia przedsięwzięć nakierowanych na poprawę warunków życia gorzej sytuowanych rodzin w 1977 i 1978 r. — liczba ich jeszcze się zmniejsza.

Szybko też jest zmniejszana w bieżącym pięćdziesiątku dysproporcja między wzrostem płacy najniższej i pla-

cy przeciętnej. W 1977 r. najniższa płaca została podwyższona do 1400 zł, a od maja 1978 r. do 1600 zł, a więc o 33 proc. w porównaniu z jej poziomem w 1975 i 1976 r. Planowany natomiast na rok bieżący poziom przeciętnej płacy jest o ok. 20 proc. wyższy niż w 1975 r.

Zwiększył się też znacznie zasięg osób objętych podwyżką płac najniższych i stawek płac następujących bezpośrednio po stawce najniższej. W 1977 r. podwyżki te objęły około 195 tys. osób, natomiast podwyżka tegoroczna obejmuje już około 970 tys. osób. Wraz ze wzrostem poziomu, od którego dokonywana jest podwyżka płac najniższych, wzrasta bowiem odsetek zatrudnionych korzystających z tych podwyżek. Wzrastają też wydatne koszty tego przedsięwzięcia. Roczny koszt ubiegłorocznej podwyżki płac najniższych szacowany był na niecałe 0,3 mld zł, tegorocznej — na ok. 1,9 — 2 mld zł.

Właśnie ta ostatnia podwyżka wpływa w sposób odczuwalny na poprawę relacji między płacą najniższą a płacą przeciętną. Na początku pięćdziesiątka płaca minimalna stanowiła bowiem ok. 30 proc. płacy przeciętnej, a od maja br. wyniesie ona ok. 36 proc. przeciętnej płacy.

Emerytury i renty

Drugim istotnym czynnikiem poprawy warunków życia gorzej sytuowanych rodzin w bieżącym pięcio-

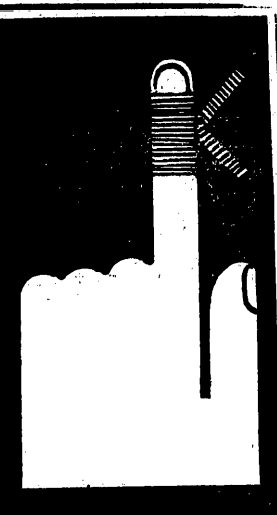
leciu jest niewątpliwie podwyżka świadczeń emerytalnych i rent. Wiadomo bowiem, że w grupie gorzej sytuowanych rodzin poczynione wcześniej zmiany w emeryturach i rentach, zwłaszcza tzw. starego portfela.

Od 1975 r. realizowany jest obszerny i kosztowny program stopniowej poprawy świadczeń emerytalnych i rent uzupełniony ustawą z 1977 r. o dalszym podwyższeniu emerytur i rent od maja 1977 r.

Obok przewidzianej w programie poprawy świadczeń emerytalnych, stopniowego zmniejszania w latach 1976—1980 rozpiętości między wysokością płac a nowo przyznawanych emerytur i rent — ważne miejsce zajmują podwyżki emerytur i rent przyznanych w poprzednich latach, gdy płace kształtowały się na znacznie niższym poziomie. W myśl tych założeń najniższa emerytura wzrosła już z 1100 zł w 1976 r. do 1450 zł w br., a w 1981 r. powinna wynieść 2000 zł. W podobnym stopniu wzrastają renty inwalidzkie I i II grupy inwalidztwa i renty rodzinne dla 2—3 i więcej osób, a w nieco tylko mniejszym renty inwalidzkie III grupy i renty rodzinne dla 1 osoby (z 850—900 zł w 1976 r. do 1350—1600 w 1981 r.).

Istotne jest przy tym, że emeryci i renciści, którzy ukończyli 80 lat ży-

DOKOŃCZENIE NA STR. 10



*Budowlanym
niełatwo gonić
postęp
w medycynie*

JOANNA KWIEK str. 8

Toast za dian

ALEKSANDER
JĘDRZEJCZAK str. 5



*Pracownicy IER
twierdzą,*

*że najlepsze są
te prognozy,
które się
nie potwierdzają*

MARCIN MAKOWIECKI str. 3

ZA CO, ILE I JAK PŁAĆ?

*Konkretnym
ludziom
za konkretne
wyniki*

OSKAR VIEWEGER str. 10



*Jak nie mieć
kłopotów z załogą*

ZANETTA REGEL str. 7

MAŁE DZIECKO
DUŻY PROBLEM

*Przedszkole
udoskonalone*

STEFAN ANCEREWICZ str. 9



Sądu Wojewódzkiego z powództwem o zapłatę przeciwko Wojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Pracy w K. Przy rozpatrywaniu tej sprawy Sądowi Wojewódzkiemu nasunęła się wątpliwość, czy sąd powszechny jest w ogóle właściwy w sporach między wspomnianym Zrzeszeniem a jednostką gospodarki uspołecznionej, jaką jest pozwana Spółdzielnia. Dla wyjaśnienia tej wątpliwości Sąd Wojewódzki zwrócił się z zapytaniem do Sądu Najwyższego.

Sąd Najwyższy uchwałą z dnia 24 maja 1977 r. nr III CZP 27/77 udzielił następującego wyjaśnienia: Zrzeszenie prywatnych właścicieli domów jest organizacją społeczną podlegającą właściwości Państwowego Arbitrażu Gospodarczego (art. 3 ust. 1 pkt 5 ustawy z dnia 23 października 1975 r. o Państwowym Arbitrażu Gospodarczym — Dz. U. Nr 34, poz. 183).

W uzasadnieniu swej uchwały Sąd Najwyższy zaznaczył m. in.:

„... Art. 3 ust. 1 ustawy o państwowym arbitrażu gospodarczym poddaje swojej właściwości spory, w których stronami są: 1) państwowe jednostki organizacyjne, 2) spółdzielnie i ich związki, 3) kółka rolnicze i ich związki, 4) gospodarki organizacje rzemieślnicze, 5) inne organizacje społeczne prowadzące działalność gospodarczą, którym przepisy przyznają osobowość prawną i 6) spółki, w których Państwo lub jednostki wymienione w punktach 1—5 posiadają udział wynoszący powyżej 50 proc. kapitału zakładowego, oraz spółki wodne.

Wymieniony przepis, wyliczając podmioty podlegające właściwości państwowego arbitrażu gospodarczego, nie posługuje się pojęciem jednostki gospodarki uspołecznionej, jako nieadekwatnym (...).

Analizując przepis art. 3 ust. 1 ustawy, należy przyjąć, że zrzeszenie prywatnych właścicieli nieruchomości jest organizacją społeczną prowadzącą działalność gospodarczą w rozumieniu pktu 5 wymienionej ustawy. Zrzeszenie prywatnych właścicieli nieruchomości opiera swą działalność na przepisach art. 18 ust. 4, art. 19 ust. 2, art. 60 ust. 3 prawa lokalnego oraz przepisach rozporządzenia Ministra Gospodarki Komunalnej z dnia 23 grudnia 1963 r. (Dz. U. z 1964 r. Nr 1, poz. 2) i zarządzenia tegoż Ministra z dnia 10 października 1964 r. (M. P. Nr 57, poz. 271). Jak to wynika z treści § 2 wymienionego rozporządzenia, do zadań zrzeszenia należy utrzymywanie nieruchomości w należytym stanie technicznym i sanitarnym, przeprowadzanie remontów nieruchomości członków zrzeszenia oraz budowa i utrzymywanie wspólnych urządzeń (jak np. pralnie, studnie itp.).

Wymienione przykładowo czynności niewątpliwie należy zaliczyć do czynności gospodarczych, dla wykonania których zrzeszenie musi wchodzić w stosunki cywilnoprawne z innymi osobami, nie wyłączając podmiotów podlegających właściwości państwowego arbitrażu gospodarczego.

W aspekcie przytoczonych przykładów zadań statutowych, jakie ciążyą na zrzeszeniu prywatnych właścicieli nieruchomości, należy przyjąć, że wymienione zrzeszenie jest organizacją społeczną w rozumieniu art. 3 ust. 1 pkt 5 ustawy o państwowym arbitrażu gospodarczym i podlega w sporach z innymi podmiotami państwowego arbitrażu gospodarczego właściwości tegoż arbitrażu.

(...) obecnie każda organizacja społeczna posiadająca osobowość prawną (a taką osobowość uzyskuje również zrzeszenie prywatnych właścicieli nieruchomości z chwilą wpisania do rejestru (§ 5 ust. 1 rozporządzenia z dnia 23 grudnia 1963 r.) i prowadząca ustawowo czy statutowo działalność gospodarczą w ogólnym tego słowa znaczeniu jest podmiotem państwowego arbitrażu gospodarczego. (...)

nowe przepisy i zarządzenia

RACJONALNE STOSOWANIE ZELBETOWYCH PŁYT DROGOWYCH

W myśl zarządzenia nr 2 Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych z dnia 6 lutego 1978 r. w sprawie racjonalnego stosowania żelbetonowych płyt drogowych (Dz. Urz. M. B. P. Nr 2, poz. 3) żelbetonowe płyty drogowe mogą być stosowane jedynie do budowy tymczasowych dróg wewnętrznych, placów składowych i postojowych dla sprzętu budowlanego i środków transportowych oraz podłoża pod urządzenia montażowe w ramach zagospodarowania placu budowy, zgodnie z projektem robót.

Zarządzenie wprowadza również zakaz produkcji w 1978 r. żelbetonowych płyt drogowych.

Za prawidłowość rozwiązań oraz racjonalne stosowanie tymczasowych nawierzchni na placach budowy odpowiedzialni są generalni wykonawcy.

Opracowała:
STANISŁAWA ZIELIŃSKA

SŁUP



„W jego ustach przestają razić formułki”. Na zdjęciu: naczelnik STANISŁAW ROJEK z rodziną.

JACEK BOŁDOK

W Rucianem, kiedy zapytałem o Urząd Gminy, poinformowano mnie, że „okazały gmach” jest piętrowy; Ruciane ma własną skalę wielkości.

Tego dnia do naczelnika trudno było się docisnąć. Gabinet zapewniał o osobowości o preencji wojewódzkiej i parzeniu kawy towarzyszyła nerwowości. Spółdzielniom kółek rolniczych zabrano dwie trzecie inwestycji.

PIOTR KAKLIN, gdzieś koło trzydziestki, wyższe studia rolnicze w Olsztynie, naczelnikiem zgodził się zostać w roku 1976, bo mu ponadto dojadło w poprzedniej pracy. Powiada, że w PGR Olecko za długą miał pieczęć: „Zastępca dyrektora do spraw produkcji, główny specjalista do spraw produkcji roślinnej”.

Przebieg naczelnika utrzymuje się na stanowisku dwa lata. Zmienia posadę, bo usiłując sumiennie wykonywać swoje obowiązki albo się komuś naraził, albo awansuje. Nie słyszał tylko, żeby krzywdził spotkała układając miernotę.

Jak długo Piotr Kaklin będzie naczelnikiem? Trudno zgadnąć. Rozmowa zaczyna o stwierdzenia: „My jesteśmy skąpi w wypowiedziach, bo to jest gmina trudna”. Nie pozwala się sfotografować i zastrzeżę, że wypowiada się w imieniu gminy, nie w imieniu osoby. To rokowałooby długim i szczęśliwym zawodowym żywotem. Ale potem ryzykuje tezę, że jeśli Front Jedności Narodu buduje sobie ośrodek wypoczynkowy w rezerwacie nad Beldanem, nie jest to całkiem w porządku, a jeszcze gorzej, że czterech ministrów interweniuje w niesłuszną sprawę.

Na usprawiedliwienie naczelnika Kaklina trzeba powiedzieć, że nazwy inwestora nie wymienić, po prostu wróble o tym w gminie ćwierkają. STANISŁAW ROJEK, lat 35, naczelnikiem w gminie Piecki. Też ukończył studia rolnicze w Olsztynie, też praktykował w rolnictwie — pięć lat był kierownikiem w PGR Machory. W roku 1972 zostaje pełnomocnikiem do spraw likwidacji gromadzkich rad narodowych, od roku 1973 jest naczelnikiem.

Nie ukrywa, że nie zamierza przez całe życie pozostać w gminie. Awans i kariera są sprawą naturalną i propozycji nie należy odrzucać, jeśli tylko mieszczą się w przedziale możliwości człowieka — powiada Stanisław Rojek.

Fakt, że status naczelnika gminy wydawać się może komuś uciążliwy, przyjmuje z niedowierzaniem. Bo, oczywiście, każdy nowy system ma coś do poprawienia, ale trudności są właśnie po to, żeby je pokonywać. A naczelnik ma obowiązek uprawiania i możliwości. Musi tylko chcieć, lubić i umieć koordynować.

Pierwsze wrażenie jest takie, że naczelnik Rojek uwielbia deklaracyjność. Mimo że wstęp ma charakter ankiety personalnej, nie chodzi mi tutaj o porównywanie naczelników, ani nawet ich sposobów myślenia. Rzecz będzie o współpracy sąsiadujących gmin. Współpraca taka wydaje się we wszystkich miarach pożądana i pożyteczna, jeśli założymy, że Polska nie jest luźną federacją kilkuset jednostek administracyjnych najniższego szczebla oraz kilkudziesięciu branż przemysłowych.

Sąsiedztwo

Dlaczego akurat Ruciane i Piecki? Przed reformą administracji państwowej w roku 1975 gminy te należały do jednego województwa — olsztyńskiego. Więcej nawet: na początku lat siedemdziesiątych, kierując się przesłankami przyrodniczymi i gospodarczymi w ramach województwa wyodrębniono obejmujący 4714 kilometrów kwadratowych Rejon Wielkich Jezior Mazurskich. Obfitość jezior i lasów oraz oczywista

przewaga rolnictwa nad przemysłem określały charakter regionu. Jego stosunkowo duża jednorodność stwarzała wspólnotę problemów i celów działania.

Ta świadomość była na tyle mocno ugruntowana wśród ówczesnych władz województwa, że sporządzono całościową koncepcję zagospodarowania turystycznego i rolniczego, które z jednej strony nie kolidowałyby z wymogami ochrony środowiska, z drugiej — uwzględniałyby interesy mieszkańców, wcale nie tęskniących za życiem w skansenie, choćby najurodzajniejszym. Na papierze koncepcja taka ujrzała nawet światło dzienne w roku 1974. Nazywało się to: „Program kompleksowego zagospodarowania Rejonu Wielkich Jezior Mazurskich do roku 1990”.

Gminy Ruciane i Piecki znajdowały się w Rejonie Wielkich Jezior i ta geogospodarcza wspólnota podkreślała naturalne sąsiedztwo.

Teraz nie ma już żadnego Rejonu. To nie znaczy, że całkiem nie ma. Te same jeziora, pola i lasy są w tym samym miejscu, tylko jako zespół o określonych walorach poniesły śmierć urzędową. Gminie Ruciane panują Suwałki, Piecki zostały przy Olsztynie.

Na pytanie, który był jest realniejszy — urzędowy czy rzeczywisty, próbuję otrzymać odpowiedź najpierw w Rucianem.

Z perspektywy Rucianego...

„Pytanie jest naiwne. Gdybym przyjechał indagować o wiarę w życie na Marsie, spotkałbym się być może z większym zainteresowaniem i tak samo dokładnie utrafiłbym w to, czym żyje miejscowa władza.

Ruciane dla większości przyjezdnych to przede wszystkim gmina piękna. Mnie na wstępie uprzedzono, że jest to gmina „trudna”. Co to znaczy w ustach naczelnika?

Otóż wiele rzeczy naraz. Po pierwsze, że bardzo łatwo jest zlecieć ze stółka, a prawie nie sposób zrobić coś sensownego, bo kłosa tego kawałka Polski jest właśnie jego nieprzeciętna uroda, przy braku jakichś innych zasadniczych walorów.

Teraz jest nacisk na rolnictwo, a rolnictwo w gminie nikłe — 4600 ha wszystkiego. Na dodatek ludzie przeważnie napływowi, najwięcej spod Kolna, nie czują się związani z tą ziemią głębiej, usiłują gospodarować z dnia na dzień, nie inwestują. Rolnictwem więc naczelnik się nie wykaże.

Naczelnik mógłby wykazać się turystyką, bo na 9 tys. stałych mieszkańców przypada w sezonie 25 do 30 tys. turystów na dobę. Ale na turystykę potrzeba pieniędzy, bo turysty chcą gdzieś jadać i domagać się noclegów. Za spektakularny sukces roku ubiegłego uważa się wygospodarowanie 50 tys. zł na ufundowanie 10 tablic informacyjnych. Turystyką więc naczelnik też się chyba nie wykaże.

Teoretycznie, naczelnik mógłby jeszcze zarobić na uznaniu za życia, a pomnik u potomnych — koordynując poczynania turystyczne innych na swoim terenie w ten sposób, żeby nie dopuścić do zdevastowania najpiękniejszych w Polsce jezior i wciąż jeszcze wspaniałych lasów. Ale rzecz jest nie do przeprowadzenia ze względu na silny rozdział między teorią i praktyką, gdy idzie o poszanowanie środowiska.

Masakra przyrody przez turystów dokonuje się dwutorowo — przez żywioł indywidualny oraz zorganizowany.

Indywidualni są w zasadzie łatwiejsi do opanowania, lecz tylko „w zasadzie”, gdyż pieniądze i stosunki pozwalają skutecznie ominąć nasze najlepsze na świecie przepisy o ochronie przyrody.

wystycie (remonty kapitalne), reszta musi wystarczyć na wszystko inne — opłacić także administrację, służbę rolną i pokryć potrzeby dwóch zakładów budżetowych.

Kiedy więc pytam naczelnika Kaklina o współpracę z gminą Piecki, oko mu się robi szklane.

— Ruciane — powiada — leżało kiedyś na krańcach województwa i przez Olsztyn traktowane było po macoszemu, nie włożono w nie ani złotówki... Ponadto dyrekcje zjednoczeń i hurtownie znajdują się dzisiaj poza granicami województwa...

Trochę pozaprzeczanych pretensji, nuta żalu, że wszystkich instytucji gospodarczych nie przykrojono na miarę nowych województw.

I w ten sposób w Rucianem wyczerpalimy temat współpracy gmin.

Z perspektywy Piecek

Ze Stanisławem Rojkiem marnie się rozmawia, bo Rojek nie potrafi ładnie mówić. To, co zrobił, i czego chciałby jeszcze dokonać — wyraża językiem niedobrych wstępniaków, na wszystko ma gotowe zwroty.

Naczelnik Piecek także nie bardzo ładnie pisze. W analizie usterek organizacyjnych gminnego życia, na tyle wnikliwej, że przekonywającej, czytamy:

„Koordynacja nie bardzo daje się zastosować, nie ma odpowiedniego rygoru, jest latwo wytłumaczalna brakiem materiału, inną niemożliwością lub brakiem zgody jednostki nadzórnej. A całe manewrowanie polega na wyrzucaniu sobie nawzajem różnych możliwości, oczywiście w miarę operatywności poszczególnych ludzi (...).

Rojek zaczyna budzić sympatię wówczas, kiedy się obserwuje jego styl pracy. Na gminnym ośrodku zdrowia wymusza transport do szpitala dla jakiegoś rolnika, jednym pociągnięciem pióra załatwia ku satysfakcji potentów sporne sprawy umów, dzierżaw i podatków, na ulicy pozwala się łapać za rękaw i cierpliwie wysłuchuje. Kiedy się to widzi na własne oczy, przestają razić w jego ustach zużyte formułki, jak np.: władza jest po to, żeby pomagać ludziom.

O Rojku powiada — cwaniak. Przydzielając jakiejś kopalni teren pod ośrodek wypoczynkowy, tak się potrafił targować, że gmina dostała dodatkowy węgiel.

Do Rojka piszą „niech pan naczelnik zrobi, żeby mój przestał pić, bo ja sama w polu nie poradzę. Przy prosię także”.

W Suwalskiem sugerują, że Olsztyn „jaduje” w granicach Piecki, żeby kląć w oczy sąsiadów. Rojek się śmieje:

— Pod względem wyników gospodarczych, to my jesteśmy dopiero w środku, takie rolnictwo — mówi. — Ale pod względem zadań koordynacyjnych w czołowie. Jak gdzieś coś się idzie, wojewoda nakazuje działaczom: zobaczcie jak to w Pieckach robią...

Skromnością Stanisław Rojek też nie grzeszy.

Kiedy się ogląda Piecki, a zna się gminę sprzed pięciu lat, do sympatii do naczelnika dołącza się szczerze uznanie. A na to uznanie składa się tak:

● Kilkanaście nowych domów jednorodzinnych na lewo od szosy.

— Nie ma u nas tradycji budownictwa jednorodzinnego. Chcieliśmy pokazać, że można szybko, dobrze i tanio. Organizacyjnie przystosowaliśmy się pięć lat, od wojewody dostaliśmy po uszach, bo pewne fundusze zagospodarowaliśmy nieuzupełnia formalnie, choć w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Wojewoda musiał to zrobić, ale chyba też jest zadowolony, że stoją domki po 400 tys. zł.

● 19 bloków dwunastorodzinnych, które wyrastają na prawo od szosy.

— Kluczowa sprawa to na terenie gminy stworzyć kolektyw ludzi do realizacji zadań. A jeżeli naczelnik sytuację kadrową ma ciężką, to musi zacząć myśleć o mieszkańcach.



Dom Kultury w Pieckach ma ukończeniu...

Zdjęcia: S. ZUBCZEWSKI



Eksperymentalny szpital na Bródnie to dla budowlanych „ciężka” inwestycja. Na zdjęciu: malarz FRANCISZEK DANIŁOWSKI (pracownik KBM-„Wschód” od 1954 r.).

Gdy w 1972 r. rozpoczynano budowę tego szpitala, za plecami miał on tylko cmentarz, przed sobą zielone pola PGR Bródno. Dzisiaj wyrosła wokół niego nowa ogromna dzielnica mieszkaniowa. I to jest namacalną miarą czasu, który upłynął od położenia kamienia węgielnego pod ten szpital.

WYROSŁY stosunkowo szybko stany surowe: od frontu długi i raczej niski, na drugim planie dwa nieco wyższe i zwarte, na ostatnim — wysoki i potężny, jak budynek starej fabryki, tworzący kompleks obiektów pozwalających się domyślić, że będzie to szpital duży, o wielu specjalnościach. Sam ten widok nie byłby z pewnością tak bulwersujący dla mieszkańców tej dzielnicy, gdyby nie dojmujący brak opieki lekarskiej, który na co dzień odczuwają. Już w samych założeniach urbanistycznych rozwoju Bródna przyjęto, że wszechstronną opiekę lekarską zapewni ten właśnie szpital.

Przyspieszenie budowy szpitala stało się koronnym punktem programu kampanii wyborczych do rady narodowej i samorządów mieszkańców, cementem spajającym opinię publiczną, frontem, na którym zwykli żądacze chleba dojrzewali na działkach społecznych.

Budowa szpitala obrosła legendą, a słowo „eksperymentalny” widniejące na tablicy informacyjnej stało się epitetem w ustach sztycherów, kierowanych przede wszystkim pod adresem wykonawcy. Nie czułam się więc zdziwiona, gdy kierownik budowy, inż. JERZY KAŃSKI, uzależnił moją u niego wizytę od zgody Kombinat Budownictwa Mieszkaniowego — „Wschód”, a jego dyrektor KAZIMIERZ ROGOWSKI nie zgodził się na oglądanie budowy bez uprzedzenia z nim rozmowy. — Pami będzie łatwiej wtedy wszystko zrozumieć — uzasadniał swoje stanowisko.

Niech się kombinat martwi...

Gdy wreszcie trafiłam na plac budowy (bez większych trudności, bo przed wstępnym intruzem strzeżę go raczej błoto i wykopy, niż uczciwe ogrodzenie z kontrolowanym wejściem) słyszę na wstępie ultimatum: „Tylko proszę się nie pętać po obiektach, bo już jedna taka, robiąc wywiady z robotnikami, zleciała z bloku H i zlamala sobie szcękę.”

Nie mam wątpliwości, że nie dziennikarska szcęką jest powodem niepokoju i troski, lecz to, czy zdołam i zechcę zrozumieć całą nieodległą historię. Lubi on budować domy mieszkalne i pawilony usługowe, a szpital bródnowski — wprawdzie przyszło mu już takie obiekty stawiać — jest o wiele trudniejszy i znacznie mniej opłacalny, zwłaszcza obecnie, gdy wykonawcy płaci się za efekt, a nie za czas pracy. Do takiej roboty nie jest przygotowany ani technicznie, ani kadrowo, ani organizacyjnie; wykonawczy więc podstawowe prace budowlane, do dalszych musi angażować przedsiębiorstwa specjalistyczne, a sam zajmować się koordynacją. Uchwala Komitetu Wojewódzkiego o oddaniu przez budowlanych całego szpitala do końca przyszłego roku, a przychodni rejonowej już tego maja, podjęta w połowie ubiegłego

roku, dała kombinatowi istotny argument mobilizujący podwykonawców do przyjmowania zleceń. Ale cała odpowiedzialność za końcowy rezultat na poszczególnych etapach, określonych na nowo w harmonogramie, ciąży na Kombinaście. Jako generalny wykonawca musi łączyć wszystkie działy, powstałe w wyniku trudności obiektywnych i subiektywnych, o które potknęli się podwykonawcy.

Przykład z ostatniej chwili: projektant zaplanował ścianki harmonijkowe (pełniące funkcję drzwi rozsuwanych, dzięki którym z dwóch pokoi robi się jedna sala) w kolorze jasnobrązowym. Producent zaofiarował skaj na tę harmonijkę w kolorze bordo albo czarnym, bo innego nie ma. Projektant postawił veto: może być tylko brązowy, pasuje do wystroju z drewna i parapetów z marmuru. Kombinast więc musiał namówić producenta skaju (we Wrocławiu), by wyprodukował dla kombinatu skaj w kolorze brązowym. Potem wysłał swoich ludzi po jego odbiór i własnym transportem dostarczył go producentowi drzwi — do Krakowa. To znów beczki kleju trzeba było szukać po całym kraju. Wykonawca wykończonów — Łódzkie Przedsiębiorstwo Budowlane — nie musiał się o to starać. Kombinast nie robił mu zresztą z tego powodu wyrzutów. Taką była przecież umowa. Łódź daje swoich ludzi, a Kombinast martwi się o całą resztę.

I wreszcie sprawa bardzo istotna, by oddać sprawiedliwość budowlanym: planowe nakłady na tę inwestycję w poszczególnych latach nie zapewniały zakończenia jej w 72 miesiącach, przewidzianych cyklem normatywnym. W 1975 roku na budowę przeznaczono tylko parę milionów złotych, (w bieżącym 170 mln), co oznacza, że trwały jedynie roboty zabezpieczające to, co zostało już zrobione.

Jednakowoż trzeba tu zaznaczyć, że owe nakłady w żadnym z kolejnych lat — z wyjątkiem roku 1975 — nie zostały wykorzystane. Powodem — jak twierdzi generalny wykonawca i ma na to liczne dowody — było oddelegowywanie „mocy przerobowych” z placu szpitala bródnowskiego do wykonywania innych zadań inwestycyjnych.

Zarówno podyktowane koniecznością rozciągnięcia inwestycji w czasie — sporo ponad cykl normatywny, jak też doraźne przyhamowanie budowy, wynikało — mówi mi w kombinacie — z potrzeby koncentracji sił i środków na budownictwie mieszkaniowym. I trudno nam było polemizować z takim stanowiskiem; w domu można równieź chorować, natomiast w szpitalu mieszkać w żaden sposób się nie da. — Od 1974 r. robiliśmy tylko rezerwy, jak były luzy — relacjonuje przebieg budowy szpitala inż. Jerzy Kański, kierujący budowlami tzw. użyteczności publicznej w całej dzielnicy. — Bo to wynikało z bilansu mocy i nie dotyczyło wyłącznie szpitala. Szkoła na Bródnie, która też już powinna być, nie wiem nawet kiedy wejdzie do planu, bo albo szkoła, albo 200 mieszkań. Jeszcze pawilonom łatwiej się było jakoś wcisnąć w plan robót. Na Targówku — 25 tys. ludzi w nowych domach i ani jednego sklepu. Musiałem więc machać pawilonami... Nie patrzymy na koszty, żeby tylko na czas wyszło.

Dyr. Rogowski potwierdza: — Dla nas „efektywnie” znaczy:

oddad jak najwyżej. W „Fałszywej” naszej fabryce elementów, mamy np. pięciodniowy zapas kruszywa, a powinniśmy być dziewięciodniowymi, bo okres reklamacji trwa 14 dni. Przyjmuję więc każde kruszywo, pakuję dwa i trzykrotnie więcej cementu, bo elementy muszą trzymać jakoś, i nie mam tutaj alternatywy. Bariery tak mierzonej efektywności tkwią nie w kombinacie, lecz w zaopatrzeniu w materiały budowlane i sprzęt, wynikają z braku ludzi do pracy, zwłaszcza wykwalifikowanych. Większość naszych robotników to zamieszkani i codziennie dowozimy ich do pracy z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Trudno w takiej sytuacji mówić o wprowadzeniu drugiej zmiany. Z tym samym problemem borykają się, oczywiście, także podwykonawcy.

Szpital na Bródnie to dla nas ciężka inwestycja: 600 mln zł to wielkość rzędu połowy rocznego planu całego kombinatu. Mimo takiego obciążenia wykonaliśmy w 100 proc. ubiegłoroczny plan budownictwa mieszkaniowego — jako jedyny spośród trzech warszawskich kombinatów. W tym roku mamy oddać 250 tys. mieszkań, czyli o 20 proc. więcej niż „Północ” i „Południe”, nie obciążone budową szpitali.

„Gdyby sufit był równy...”

Każdego wtorku o jedenastej zbiera się Rada Budowy Szpitala

To rzekłszy, wraz z kilkoma reprezentantami łódzkiej wykończonówki opuszcza stołówkę, w której odbywa się narada. Robi się trochę nieswojo. Ktoś zauważa, że te schowki należą właśnie do łódzkiego przedsiębiorstwa. Ale spraw jest więcej, a dyrektor Skonieczny i tak niedługo się na budowie odnajdzie. O godzinie 15-tej każdego dnia jest odprawa dyrektorów wszystkich przedsiębiorstw wykonujących prace na tej budowie.

Zaplecze: — Termin niedotrzymany, bo panele przyszły nie pomalowane, wystąpiły więc nowe roboty. Niech je Łódź pomaluje, bo ma malarzy, a my ich nie mamy. Poza tym spadła na nas inna, dodatkowa robota — listownianie. To przecież jest od nas niezależne...

Generalny projektant: — To nie jest żadna dodatkowa robota. Gdyby sufit był równy, to listownianie byłoby niepotrzebne.

Kombinat Instalacji Sanitarnych KIS: — Roboty nie zakończone, bo „Instal-Rzeszów” nie zrobił izolacji na obiegowej wodzie, a „Świebodzice” nie dostarczyły żadnych poręczy do szafek klimatyzacyjnych.

Użytkownik, dzielnicowy Zespół Opieki Zdrowotnej: — Bez pokreślenia obiektu nie przyjmujemy...

KIS: — Czekamy na klucze zastępcze. Kto powiedział zresztą, że muszą być akurat galiki. Wylewki i galiki do kranów można by już zainstalować, ale mogą poginać.

nad działaniem czasu w dalszych inwestycjach.

Postęp techniczny w dziedzinie aparatury medycznej (większość zostanie wprowadzona z zagranicy) jest niezwykle szybki. Zmiany konstrukcji wymagają zmian w naszej dokumentacji, opracowanej przecież przed 8 laty. Musimy więc np. zmieniać stropy, rozbić ścianki, zmieniać ich układ, zmieniać linię ścian, położenie przejść dla instalacji itp. Zmienia się po prostu cała technologia pomieszczenia. Ciągłe jesteśmy zaskakiwani wycofaniem lub ograniczeniem krajowej produkcji jakiegoś urządzenia czy materiału budowlanego jako przestarzałych, z czym zresztą nie zawsze można się zgodzić. Ważną jest sprawą otwarcie, kto nam zrobi przewody do klimatyzacji, potrzebne już lada moment...

Szpital to jest skomplikowana maszyna przemysłowa. Musi spełniać szczególne wymagania bezpieczeństwa — mieć własną kotłownię, agregat prądotwórczy, własny zbiornik wody, chłodnicę wody do klimatyzacji, instalacje do produkcji gazów technicznych itd. Ale z punktu widzenia sztuki budowania jest to obiekt — choć nie seryjny — taki jak większość obiektów przemysłowych.

Inżynier Zwoliński jest młody, spokojny, uprzejmy, bardzo rzeczowy. Umie poradzić każdemu majsterkowi, z osiemnastu przedsiębiorstw kłębających się na placu budowy, jak najlepiej zrobić to czy tamto. Z miejsca na pniu rozstrzyga wątpli-

wości progresywnej. To znaczy, że chory jest „lokalizowany” w zależności od stanu zagrożenia zdrowia, bez względu na przyczynę choroby. W miarę poprawy stanu zdrowia przechodzi na inny szczebel opieki. Z systemu opieki progresywnej wydzielono w osobnych blokach położnictwo i psychiatrię.

Pozwała to na koncentrację opieki lekarskiej i pomocniczej tam, gdzie jej najbardziej potrzeba, oraz optymalne wykorzystanie aparatury i sprzętu. Oplek nad chorym sprawuje konsylium lekarskie, złożone ze specjalistów różnych dziedzin. W stanach ciężkich jego doświadczenia jest anestesjolog.

Niewątpliwie efekt humanitarny spłata się z niebagatelnymi korzyściami ekonomicznymi. Taką organizacją szpitala, nie będąc światową nowością, pozwala na skrócenie pobytu chorego w szpitalu o około 25 proc. Czyli — operując terminem z tej „branży” — zwiększa się liczba „osobodni”, tym samym przyspiesza amortyzacja szpitala.

Do założeń techniczno-ekonomicznych tej inwestycji został włączony — po raz pierwszy w historii budownictwa szpitali w naszym kraju — rachunek kosztów eksploatacji obiektu. Rzecz nie jest łatwa do obliczenia, zwłaszcza że postęp w medycynie powoduje stały wzrost kosztów leczenia jednego pacjenta. Ale pewne sprawy są ewidentne i pozorna rozróżność łatwo okazuje się wyrazem gospodarności. Przypada to każdy, kto na przykład przeżył zmianę stolarki w szpitalu im. Kopernika w Łodzi w przeciągu roku jego istnienia, w czasie której chorzy kurowali się niekiedy w temperaturze 7–10°C.

Klimatyzacja, marmurowe posadzki w przychodni, węzły sanitarne dla każdego pokoju, w którym leżą chorzy — to jest poziom normalny — podsumowuje generalny projektant, dr STANISŁAW ROSZCZYK. — Ubolewam, że opracowywane obecnie typowe projekty szpitali nie przewidują tego. Łazienkę ma przecież każdy pokój w hotelu turystycznym. Tak zorganizowany szpital zarabia zresztą na te „luksusy”, choćby dwuzmianową pracę na salach operacyjnych, w laboratoriach, wykonywaniem apteki szpitalnej z jej częścią „produkcyjną” na rzecz pacjentów przychodni, nie mówiąc o późniejszych kosztach sprzątnięcia i remontów.

Przecinamy wstęgę

Czwartek 27 kwietnia, godzina 19. Zbliża się godzina zerowa przekazania przez budowlanych przychodni. Ostatni rzut oka na stan gotowości do uroczystego oddania. W sobotę przybędą na nie władze dzielnicy i miasta, które nieradko lustrowały przebieg prac. Oddanie na czas przychodni stało się dla wszystkich sprawą honorową.

Jest dyr. Skonieczny, przyjechał dyr. Jagodziński z żoną, są wszyscy dyrektorzy przedsiębiorstw, które pracowały przy budowie przychodni. Dyr. Jagodziński wytyka niedoróbki, dzieląc je na te, które trzeba usunąć natychmiast i na te, którymi można się będzie zająć w czasie urządzania przychodni.

— Mamy 80 ludzi — tłumaczy mi sytuację szef Przedsiębiorstwa Robót Kamieniarskich — i 5 wielkich placów budowy w Warszawie, wszędzie jakieś ważne terminy się kończą... No, ale marmur na tej kolumnie wymienimy jutro.

Nastrój pogodny, pełen wzajemnego zrozumienia. Widać już kres robót. Marmury ścian i posadzek lśnią jak w balowej sali.

Ogromna mobilizacja, która pozwoliła o kilka miesięcy skrócić czas oddania przychodni, nie kończy się przecież wraz z jej oddaniem. Przyjęte nowe terminy ukończenia poszczególnych budynków są bardzo ambitne. Bilansują moce maszyn i ludzi oraz właściwości materiałów budowlanych, ale nie uwzględniają potknięć, spowodowanych choćby tylko brakami w zaopatrzeniu — co przecież w rzeczywistości stanowi absolutną konstans każdej budowy. Dyr. Skonieczny mówi, jak się należało spodziewać, że to jest konstans rzeczywistości budowlanej, którą trzeba po prostu wliczyć w ryzyko tego zawodu.

Moja podstawowa wątpliwość, z którą się dzielił z dyr. Skoniecznym, to czy takim sposobem uda nam się osiągnąć przyrost 27 tys. łóżek szpitalnych w tej pięciolatce (brakuje nam jeszcze 20 tys.), a w dwóch następnych pięciolatkach po 100 tys.

W roku 1990 powinniśmy mieć 9 łóżek szpitalnych na 1000 mieszkańców (4 łóżka tzw. ogólne plus 5 specjalistycznych i psychiatrycznych). Będzie to oznaczać zasadniczą poprawę sytuacji, chociaż w tym czasie w innych krajach socjalistycznych wskaźniki będą wyższe niż u nas.

W lipcu 1977 Rada Ministrów wydała polecenie zobowiązujące wojewódów do nadrobienia zaległości w budownictwie szpitalnym. Jednak w drugim półroczu ub. roku nie odnotowano przyspieszeń i w rezultacie plan robót wykonano zaledwie w 74 proc., a plan terenowy w 71,4 proc. Jest to najniższe wykonanie planu w ciągu ostatnich 7 lat.

Niepokoi mnie zwłaszcza los szpitali w tzw. terenie, którym nie będzie patronować Rada Budowy o tak znaczącym składzie, jaką ma szpital na Bródnie.

SZKOŁA ŻYCIA

JOANNA KWIEK

Przedsiębiorstwo Robót Instalacyjnych „Instal”: — Kto robi automatycznie dla instalacji ciepłowniczej? (Inwestor nie zgadza się szukać wykonawcy. Dyr. Rogowski wpisuje więc do swego rejestru jeszcze jedną sprawę do załatwienia).

O naprawy instalacji klimatyzacyjnej interweniowaliśmy już w „Świebodzicach” (przedsiębiorstwo „Klimator”). Dzwukrotnie wysyłaliśmy telex, obecnie pojechał nasz pracownik i właśnie nam sygnalizuje, że „Świebodzice” przyjadą, jeśli nie będziemy tego traktować jako usługę w ramach gwarancji. Poza tym „Świebodzice” produkują już nowy typ szafek klimatyzacyjnych, które przewracają cały projekt, bo inna jest logika tego nowego systemu. Szkoda, że od razu nie zamówiliśmy całej partii szafek starego typu, przecież to można było wcześniej przewidzieć.

Dyr. Kozłowski: — Trzeba zmusić „Świebodzice”, żeby podjęły tę produkcję.

„Mostostal”: — Nie mamy tyle szkła, ile nam potrzeba. Nie mamy wełny mineralnej do izolacji, bo nie dostaliśmy na ten rok przydziału ani na ten szpital, ani dla Centrum Zdrowia Dziecka.

I tak dalej, i temu podobnie...

Gonić postęp w medycynie

Inż. architekt MICHAŁ ZWOLIŃSKI, kierownik budowy obiektu, wprowadza element refleksji



Zbliża się godzina przekazania przyszpitalnej przychodni...

Zdjęcia: S. ZUBCZEWSKI

Nikt i nie zastąpi przedszkola w jego funkcji wychowawczej. Jest to prawda oczywista, ale jednocześnie obwarowana pewnymi warunkami. Dla uzyskania pożądanych efektów rozwojowo-wychowawczych wystarczy 5-6-godzinny pobyt dziecka w przedszkolu. Niestety, w naszych warunkach jest on często znacznie dłuższy (szczególnie, gdy rodzice pracują daleko od miejsca zamieszkania), a to powoduje, że dziecko jest zycząnie zmęczone wielogodzinnym przebywaniem w gromadzie, poza domem.

Do przedszkola powinny chodzić dzieci całkowicie zdrowe. W zborowisku każda infekcja rozprzestrzenia się bardzo szybko, więc wystarczy jedno zakatarzone, trochę zagryzione dziecko, by w ciągu kilku dni zachorowały następne. Do naszych przedszkoli jednak — z przyczyn, które wydają się zbyt złożone, by o nich szerzej pisać w tym miejscu — rodzice często przyprowadzają dzieci do chwili, kiedy nie rozchorują się całkowicie, bądź też nie czekając, aż dziecko zupełnie wyzdrowieje.

Mówiąc wprost — przedszkola w naszym kraju w większym stopniu spełniają funkcje socjalne niż rozwojowo-wychowawcze, co powoduje, że często występują w roli przechowalni, do której oddaje się dzieci, żeby były nakarmione i nie zrobiły sobie nic złego w czasie nieobecności rodziców w domu.

Rozwiązując kwestię potrzeby wychowania przedszkolnego, nie można też pominąć wieku dziecka. Przedszkole jest naprawdę konieczne dla dzieci starszych; trzy- i czterolatki mogą się bez niego obejść, jeśli mają dobrą opiekę w domu. Należy podkreślić, że pod słowem „dobra” rozumieć nie tylko pełne zaspokojenie potrzeb bytowych dziecka, lecz również — a może nawet przede wszystkim — emocjonalnych.

O dobrej opiece można mówić wówczas, gdy rodzice poświęcają dziecku dużo czasu, rozmawiają z nim, bawią się, słowem — wychowują od najmłodszych lat. W takiej rodzinie dziecko trzy- i czterolatnie może nie chodzić do przedszkola, co nie oznacza, że nie byłoby ono korzystnym dopełnieniem procesu kształtowania osobowości, gdyż wychowanie społeczne jest potrzebne każdemu.

PRZECHOWALNIE CZY PLACÓWKI WYCHOWAWCZE?

STEFAN ANCEREWICZ

W systemie oświatowym wychowanie przedszkolne zajmuje należne miejsce, pomyślane tak, by dziecko przygotować do kontaktów społecznych i właściwie kształtować jego sylwetkę psychiczną. Dziecko przebywające w gromadzie ma możliwość porównania siebie z innymi, wyzwała to dziecięcą ambicję i uruchamia pozytywne bodźce psychiczne. Ale jednocześnie każdy maluch wymaga indywidualnego podejścia i odpowiedniego traktowania, jeżeli założony program wychowawczy ma być należycie realizowany.

Jak osiągnąć najlepsze efekty w obecnej sytuacji, kiedy w przedszkolach jest tłok, a i tak napięta norma Ministerstwa Oświaty i Wychowania, przewidująca oddanie maksimum 30 dzieci pod opiekę jednej wychowawczyni, jest często przekraczana?

W miesięczniku „Wychowanie w przedszkolu” natknąłem się na artykuł p. MARI MROWCZYŃSKIEJ — dyrektorki Państwowego Przedszkola nr 196 w Warszawie — w którym Autorka przedstawia swój punkt widzenia na możliwość udoskonalenia w przedszkolnym porządku dnia. Propozycje i zebrał już doświadczenia są interesujące, stąd moja wizyta na ulicy Nabełaka i zapis rozmowy, który przedstawię. Oddaję zatem głos mgr M. Mrowczyńskiej:

— W naszych przedszkolach stosunkowo luźno było w latach sześćdziesiątych. Potem jednak w wiek

populacyjny wszedł wył demograficzny i zaczęło się robić coraz tłoczniej, a teraz sytuację bardzo zaostrzyła reforma systemu oświatowego. W myśl jej założeń, każdy sześciolatek ma być objęty wychowaniem przedszkolnym. To ogromna armia dzieci, których istnienie przedszkola nie bardzo mają gdzie pomieścić. A jednocześnie nie można ich pozostawić bez zorganizowanej opieki, bo nowy system oświatowy zakłada, że do szkoły przychodzić dzieci już z pewnym minimum umiejętności pisanie i czytania, co odpowiednio kondensuje w czasie naukę elementarną. Sytuację ratuje się organizując — szczególnie na wsi — ogniska przedszkolne i klasy wychowania przedszkolnego, ale tu znowu napotykałyśmy przeszkody, wynikające z braku dostatecznej liczby kwalifikowanych nauczycielek wychowania przedszkolnego.

Odrębnym zagadnieniem jest brak pomocy, dzięki którym bawiać można uczyć sześciolatek. Tu kreka i tablica nie wystarczą, potrzebne są różnego rodzaju alfabet i układanki obrazkowe, z nabyciem których mamy kłopoty w Warszawie, zaś na tzw. prowincji brakuje ich często zupełnie.

Mimo wszystko program wychowawczy w przedszkolach musi być realizowany, a możliwości poprawy uzyskiwanych efektów kryją się w reformie rozkładu dnia w przedszkolu.

Wnioski płynące z obserwacji dzieci przychodzących do przedszkola posłuszny nam — mówi M. Mrowczyńska — do opracowania innej niż dotąd organizacji dnia.

Według powszechnie obowiązujących zasad, dziecko dostaje pierwsze śniadanie po przyjeździe do przedszkola o 8.30, potem obiad o 12.30, potem półtorogodzinny odpoczynek, a następnie wreszcie podwieczorek. Na żywienie przeznaczają się 12 zł dziennie.

Trudno z tej kwoty wygospodarować trzy wartościowe posiłki, a ponadto w małych odstępach czasowych trzeba do nich nakryć i potem posprzątać, i jeszcze w tym czasie przygotować śniadanie i potem również je zwinąć. Powoduje to ogromny pośpiech w pracy personelu, wprowadza niepotrzebną nerwowość i poganianie dzieci. Jest to jednak konieczne, jeśli mamy mieścić się w czasie.

Z naszych obserwacji wynikało, że przytłaczająca większość dzieci przychodzi do przedszkola już po zjedzeniu w domu śniadania (na prześlicie 130 dzieci tylko 10—12 było rano na czczo), a ponadto — co wszyscy wiedzą — starszaki bardzo nie lubią spać po obiedzie, zaś półtoragodzinnego odpoczynku nie wytrzymują. Sami rodzice prosili nas zresztą w wielu przypadkach, by nie usypiać dziecka po obiedzie, bo potem mają z nim kłopoty wieczorem.

Zmieniając porządek dnia, zredukowaliśmy liczbę gotowanych posiłków do praktycznie dwóch (śniadanie o 9.30 i obiad o 13.00), ale za to wartościowych, na podwieczorek podajemy owoce. Przecież dzieci i tak z reguły są dokarmiane zaraz po powrocie do domu. Na te maluchy, które przychodziły na czczo, czeka od rana gorące mleko.

Zróznicowaliśmy też odpocznęk poobiedni dla dzieci młodszych i starszych. Trzy- i czterolatki śpią tak jak poprzednio, natomiast starszaki kładą się tylko na pół godziny na materacach (które zrobiliśmy z samochodowych mat „rajd”), a w tym czasie wychowawczyni czyta im lub nastawia bajki z płyt.

Oczywiście, wszystkie zmiany przed ich wprowadzeniem zostały omówione z zainteresowanymi i zaakceptowane przez rodziców i personel.

Postawa zespołu pracowników przedszkola była w tym przypadku szczególnie ważna, bo nie ma co ukrywać — zwiększyły się jego obowiązki. Wychowawczynie dzieci starszych muszą im teraz poświęcić czas bez przerwy (jaką dawał przedtem półtoragodzinną sen), a wóznice wprawdzie zyskały na reorganizacji dnia, ale pomagają za to wychowawczynom w prowadzeniu zajęć z dziećmi.

Rozstrzygające znaczenie mają jednak korzyści będące udziałem dzieci — zniknął pośpiech i nerwowość, możemy im poświęcić więcej czasu — a to nas satysfakcjonuje w całości. Wydaje się, że przy takiej właśnie organizacji dnia przedszkolnego można osiągnąć o wiele większe rezultaty wychowawcze.

Przedszkola mogłyby — moim zdaniem — jeszcze sprawniej funkcjonować przy pewnych zmianach natury formalno-prawnej.

Pierwsza sprawa — podkreśla mgr Mrowczyńska — to zaopatrzenie. W



Mgr MARIA MROWCZYŃSKA: — Rozstrzygające znaczenie mają korzyści będące udziałem dzieci.

przedszkolu jedynym pracownikiem predestynowanym do zajmowania się tą dziedziną jest intendentka, ale obecnie zamiast się ona praktycznie w księgową i kasjerkę. Do obowiązków intendentki należy obliczanie i pobieranie opłat za przedszkole, zwroty za żywność, jeśli dziecko dłuższe niż cztery dni jest nieprzerwanie nieobecne w przedszkolu, dysponowanie pogotowiem kasowym i prowadzenie rozliczeń z Zespołem Ekonomicznym — Administracyjnym przy Urzędzie Dzielnicowym. To pochłania jej czas całkowicie. Tabele rozliczeń ciągną się na dziesięć godzin, a drukowane strony, bo stawka odpłatności zmienia się, jeśli dochód na członka rodziny drgnie nawet o cztery, czy pięć złotych miesięcznie.

Przedszkola mają obowiązek co trzy miesiące weryfikować odpłatność, jeżeli rodzice sobie tego życzą, nawet gdy w grę wchodzi takie groszowe różnice. Zresztą nieraz bywa, że ojciec najpierw zgłasza obniżkę zarobków, a potem, kiedy po dokonaniu przeliczeń przekonuje się, że różnica wyniesie np. 10 zł w opłacie miesięcznej, mówi: „Gdybym wiedział, że chodzi o taką sumę, nie zawracalibyśmy Pani głowy”.

Ponadto wiele nieporozumień wiąże się ze zwrotem stawki żywnościowej. Jedno dziecko nie chodziło do przedszkola przez 10 dni w miesiącu, ale poszczególne nieobecności były nie dłuższe niż 4 dni, inne chorobowo przez 5 dni bez przerwy. W pierwszym przypadku zwrot pieniędzy nie przysługuje, w drugim natomiast rodzice dostają z powrotem 60 zł. Podobne sytuacje wywołują komentarze i zbędne dyskusje.

Wydaje się, że najrozsądniejszym wyjściem byłoby wprowadzenie zryczałtowanych opłat ustalonych w zależności od wysokości dochodu na członka rodziny na cały rok i przekazywanych za pośrednictwem poczty, tak jak to jest przyjęte dla wielu innych świadczeń.

Inna sprawa, to wydawanie budżetowych pieniędzy. Możemy bowiem zaopatrzyć się tylko w sklepach wytypowanych do sprzedaży poza-rynkowej. Nie chodzi mi już o niewielki wybór oferowanych tam zabawek i innych artykułów, lecz o limity, które z kolei na te sklepy są nałożone. Na ogół wystarczą one na sprzedaż w kilku pierwszych dniach miesiąca i trzeba niezwykłych starań, żeby w tym czasie kupić wszystko, co jest potrzebne.

Trzecia sprawa, to zupełny brak bezosobowego funduszu plac i nie-

możliwość opłacania z pieniędzy przedszkola usług prywatnych osób. Przecież jeśli przywiezie mebelki do przedszkola, ktoś musi je wnieść do budynku, a nikt nie chce robić tego za darmo. Kiedy rozrosły się drzewa w przedszkolnym ogrodzie — przeświecić, musiałam skorzystać z prywatnych usług, bo gdybym zaczęła sprawę załatwiać drogą służbową, wyrosłaby dżungla.

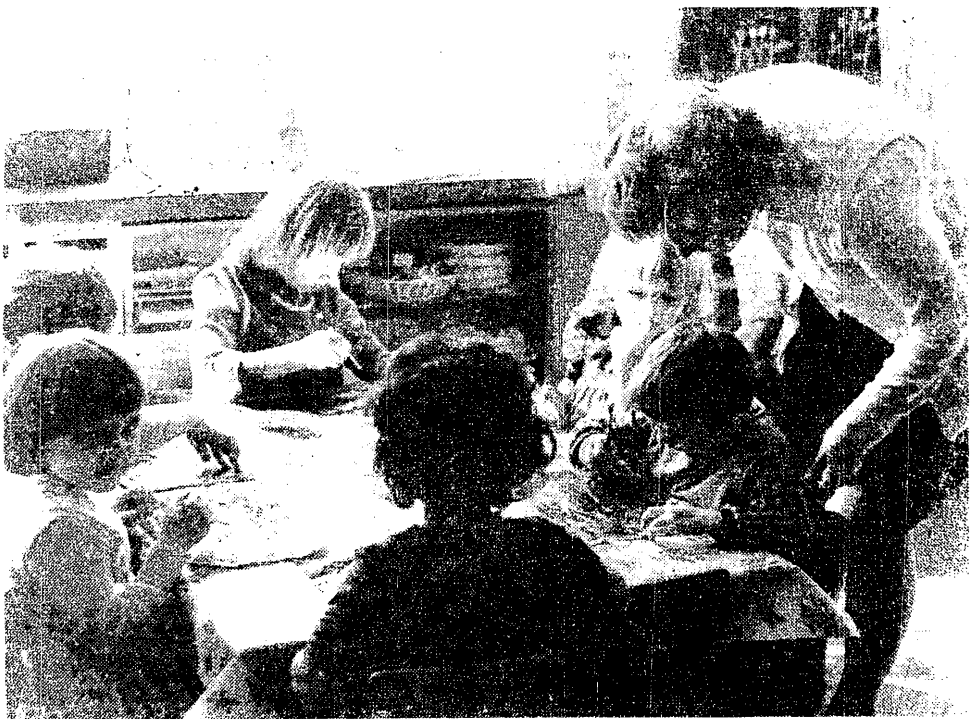
Podobnych kłopotów jest wiele. Z niektórymi udaje nam się radzić dzięki pieniądżom komitetu rodzicielskiego, które można rozliczać prywatnymi rachunkami. Nie jest to może najlepsza praktyka, ale kto jest bez winy, niech rzuci we mnie kamieniem.

Wydaje mi się, że wyjściem z sytuacji — w odniesieniu do kłopotów z zakupami — byłoby wprowadzenie przyznawanych przedszkolom obok budżetu — limitów rzeczowych. Wtedy wiedzielibyśmy, że tysiąc złotych w budżecie to równocześnie np. kilkadziesiąt nowych kubków i nie wyluczyłabym uwagę zaniepokoju z powodu poobiednich naczyń. Nas także to razi i denerwuje, że mając pieniądze, nie możemy kupić nowych.

Praca z dziećmi daje mi ogromną radość, wiele zadowolenia i satysfakcji, czego dowodem może być kilkunastoletni staż na obecnym stanowisku. Ale ta szarpanina z zaopatrzeniem i podobnymi administracyjnymi sprawami, zabierająca mnóstwo czasu — w teorii przeznaczoną na kierowanie merytoryczną działalnością przedszkola — często tę radość gasi.

Cóż dodać do tych uwag mgr Marii Mrowczyńskiej poza wnioskiem, żeby raz jeszcze przemysłiano — z satysfakcjonującym wynikiem — sprawę odpłatności rodziców, a zwłaszcza zaopatrzenia przedszkoli. To prawda, że dla ochrony rynku indywidualnego nabywcy zabawek, sprzętu i usług.

Sądzę również, że pedagogicznymi doświadczeniami warszawskiego przedszkola, przy ul. Nabełaka zainteresuje się bliżej resort oświaty i wychowania. W sytuacji głodu miejsc w przedszkolach, która z przyczyn obiektywnych nie może poprawić się z dnia na dzień, doskonałe stylu pracy istniejących placówek jest warte szczególnej uwagi.



Wychowawczynie dzieci stanczych muszą im teraz poświęcać czas bez przerwy...

Zdjęcia: S. ZUBCZEWSKI

CIEPŁO W DOMU

CENTRALNE ogrzewanie, czy ciepła woda z kranu — wydają się nam już oczywistym udogodnieniem życia codziennego. Nikt tego nie uważa już za oznakę komfortu. Jest całą zimną ciepło — w porządku, tak być powinno.

Również na co dzień nie dostrzegamy się wysiłku wielu zakładów dostarczających to ciepło do naszych domów. Rzadko też nawiedza nas refleksja, jak duże nakłady potrzebne są na te cele i jak wiele pieniędzy wszystko to kosztuje. Prawie nie zauważamy też, że zebrała w naszych mieszkaniach ciepła są już od września, często aż do czerwca.

Według obowiązującego zarządzenia Ministerstwa Gospodarki Materialowej tzw. sezon ogrzewczy trwa oficjalnie od 15 października do 15 kwietnia. Ponieważ jak dotychczas, pogody nie udało się nagiąć do żadnych terminów — zarządzenie to rozwidluje odstępstwa od reguły. Sezon może być przedłużony, bądź wcześniej rozpoczęty, jeśli w ciągu

trzech kolejnych dni o godzinie 21 temperatura jest poniżej plus 10 stopni Celsjusza.

Gdy piszę tę informację, 5 maja, kaloryfery w Warszawie jeszcze grzeją, choć w dzień słońce mocno przygrzewa — zarządzenie przestrzegane jest rygorystycznie.

W ubiegłym roku nie przerywano ogrzewania aż do końca kwietnia. Wyłączono ciepło w różnych okęgach kraju między 30 kwietnia a 5 maja. Potem oziębiło się — kaloryfery znowu włączono (między 16 a 18 maja). Definitywnie zakończono sezon ogrzewczy dopiero 2 czerwca. Nowy sezon rozpoczął się już między 15 a 18 września 1977 roku. Jak długo trwać będzie? „Jeśli będzie chłodno — informują mnie w Ministerstwie Energetyki — to nawet i do końca czerwca.”

Energetyka zawodowa, a więc zakłady podlegające Ministerstwu Energetyki i Energii Atomowej, za-

opatrują w ciepło 40 dużych aglomeracji miejskich. Ścisłej — produkują ciepło. Na całą sieć ciepłowniczą (z jednym wyjątkiem — Łódź) czuwają specjalistyczne przedsiębiorstwa komunalne.

Drugą grupą dostarczycieli ciepła stanowią elektrociepłownie przesyłowe. Na przykład: Płock ogrzewany jest przez „Petrochemię”. Wreszcie, trzecia grupa to małe kotłownie osiedlowe bądź dzielnicowe. Nie zapominajmy też, że w użytku — prawie we wszystkich wsiach — są najrozsądniejsze piece i piecyki.

Najkorzystniejsze, z punktu widzenia ekonomicznego, jest ogrzewanie z elektrociepłowni zawodowych. Przede wszystkim ze względu na efektywność zużycia paliw stałych. Zwykłe piece mają sprawność cieplną w granicach 20—35 procent. Osiedlowe kotłownie osiągnąć sprawność ok. 60 proc. i do rzadkości należą przypadki osiągnięcia 70 proc. Natomiast energetyka zawodowa produkuje ciepło ze sprawnością 82 procent.

Oznacza to po prostu, że do ogrzania takiego samego mieszkania potrzeba znacznie więcej węgla w przypadku pieców i kotłowni niż przy centralnym systemie ogrzewania z elektrociepłowni zawodowej.

Zgodnie z rządowym programem rozwoju ciepłownictwa, budujemy coraz więcej elektrociepłowni. Wszystkie przedsięwzięcia w tej dziedzinie są bardzo kapitałochłonne, wymagają dużych nakładów.

Przytoczmy w tym miejscu kilka liczb, obrazujących konsekwentną politykę państwa w tej dziedzinie. Produkcja ciepła w energetyce zawodowej rośnie następująco: w 1970 roku — 18,1 mln Gcal, w 1975 roku — 30,6 mln Gcal, w 1977 roku — 37,6 mln Gcal. Plan na rok bieżący opiewa na 44 mln Gcal, zaś na 1980 rok — 53 mln Gcal. Tak więc energetyka zawodowa w dekadzie 1970—1980 prawie potroiła ilość produkowanego ciepła.

Niedawno, bo w 1972 roku, oddano elektrociepłownię „Łódź III” o docelowej mocy powyżej 700 Gcal/h; w końcu ub. roku zakończono pierwszy etap budowy elektrociepłowni „Łódź IV” o mocy 1500 Gcal/h.

Rozpoczęta w latach sześćdziesiątych warszawska elektrociepłownia „Siekierki” ciągle jest rozbudowywana — obecnie montuje się tu najnowsze bloki „BC-100”. W 1980 roku osiągnąć powinny „Siekierki” łączną moc około 2000 Gcal/h. Ale dla stolicy potrzeba jeszcze więcej ciepła. W 1980 roku powinna dać

pierwsze kalorie potężna (docelowo też 2000 Gcal/h) elektrociepłownia budowana w Kawęczynie.

Modernizowane i rozbudowywane są elektrociepłownie na Górnym Śląsku. Pierwsze efekty powinna dać w 1980 roku elektrociepłownia „Dąbrówka”. Poznań rozbudowuje „Karolin” do mocy 1000 Gcal/h. W 1981 roku zakończona zostanie budowa „Wrocławia II” o mocy ok. 900 Gcal/h. Budowane są elektrociepłownie w Bydgoszczy, Gdańsku i Gdyni. Itd., itd.

Aby wyprodukować jedną gigakalorię, potrzebne jest blisko 200 kilogramów paliwa stałego. Łatwo obliczyć sobie, ile milionów ton węgla potrzeba, by wytworzyć 44 mln Gcal rocznie.

Tak więc z tym, czy za oknem jest ciepło czy zimno, wiąże się niebagatelne wydatki. Występuje przy tym oczywiste zderzenie względów ekonomicznych i społecznych. Nie zawsze te ostatnie racje determinowały decyzje w sprawie wydłużenia sezonu ogrzewczego. Pamiętam jeszcze pewną zimę, po której dokładnie 15 kwietnia wyłączono kaloryfery i nie podjęto już ogrzewania.

W sumie nie opłaciło się owe oszczędzanie energii cieplnej. W większości mieszkań powalczali sobie ludzie piecyki i słońca elektryczne. Zużycie energii znacznie wzrosło.

W ostatnich latach raczej społeczne są respektowane konsekwentnie. Nie zdarzyło się, by w dni chłodniejsze kaloryfery były wyłączane. Temat zniknął ze szpalit gazet. I właściwie nie dostrzegamy się całej sprawy — bo skoro wszystko jest w porządku...

Chciałbym jednak na zakończenie zwrócić uwagę na to, że aby mieć rezerwę energetyczną na owe przedłużenie sezonu ogrzewczego, to trzeba jednak konsekwentnie oszczędzać zarówno samo ciepło, jak też i surowce energetyczne. Muszą też rezerwy wypracowywać zakłady pracy odstępować m. in. od naturalnej wentylacji oraz wykorzystując tzw. ciepło wtórne. Muszą też o tym oszczędzaniu pamiętać wszyscy użytkownicy indywidualni.

Idealnym byłoby, by dla wszystkich stała się tak oczywista konieczność oszczędzania, jak oczywiste jest to, że w mieszkaniu jest ciepło.

K. Boń.

